

**Gliński Kazimierz**

**OSTRZEŻENICA**

*(opowiadanie)*

Ku zachodowi się miało.  
Słońce, jakby żal mu było opuszczać ziemię, zakrwawiło się i  
ostatnie jej  
pożegnanie posłało. Czerwienią oblało mury Kazkniczowego  
zamczyska, czerwienią  
obramowało brzegi zębatej baszty, stojącej opodal od dworca  
królewskiego,  
czerwienią rozsypało się po skośnych załomach gór  
wapiennych i zapaliło ogniem  
fale wiślane, które, wchłonawszy w siebie złoto i purpurę,  
jakby się  
rozkoszowały tą niezrównaną tęczą blasków — zaszumiały  
potężniej i z większą  
pychą i dumą ku dalekiemu uniosły się Bałtykowi.  
Im słońce bliżej było ziemi, tem na niebie pożar chmur był  
większy. Przed chwilą  
białe, pierzaste obłoki, teraz w rumieńcu zórz stanęły. Płonęło  
niebo, płonęła  
ziemia, czarne głębie puszczy nawet, otaczające miasto i  
siedzibę letnią króla,  
poprzerzymne były pas-

mami promiennemi; przez gęstoliście dębów i buków  
rozpryskiwało się słońca  
ognisko krwawe, śląc pożegnanie monarsze groźnym żubrom i  
torom potężnym, lotnym  
jeleniom i łosiom o łbach gałęzistych, strasznym  
niedźwiedziom i sarnom  
szybkonogim. Konary drzew zaroły się od wiewiórek, które  
przed spoczynkiem  
ostatni jeszcze płas zawiodły; przerzucały się z konara na  
konar, z gałązki na  
gałązkę, wydając głosy radości, do śmiechu rozbawionych  
dziewcząt podobne;  
ostatni raz zakołowały ponad lasami krogulce i jastrzębie, za  
wrzeszczały wrony,  
goniąc stadami wielkimi, i wszystko naraz umilkło, ucichło  
— gdzieś zapadło.  
Słońce zaszło.  
Zmierzch spływał powoli, w orzeźwiającym mroku wieczora  
zaczęły się wonie  
podnosić, niby dymy z kadzielnic kościelnych. Od lasów  
płynął żywiczny zapach  
sosen, od łąk — kwiatów i ziół. Zapachniała Wisła nawet wód  
swych wilgocia i  
mchy na skałach i krzewy na górach. Rzekłbyś, że ziemia

modliła się tym zapachem, licząc pacierze na wonnych  
paciorach rózańca.

Z zamczyska wyszedł pan i krętą drogą ku miastu się  
skierowali; nikt mu nie  
towarzyszył, bo taki rozkaz był. On zaś schodził krokami  
powolnemi z tych. gór,

obrośniętych berberysem, a strój na sobie miał taki, że niktby w nim króla i parna poznać nie mógł.

Długa a wyszarzana, piaskowego koloru kapota, ujęta nad biodrami prostym, rzemiennym pasem, okrywała wyniosłą postać króla Kazimierza. Buty juchtowe miał, na głowie czapkę baranią, w prawicy kij, z dębiny wycięty, którym podpierał się, idąc.

Nie dziwili się temu strojowi, ani tej nocnej wycieczce dworzanie i panowie, przebywający stale przy osobie królewskiej. Nie tylko w Kazimierzu, ale i w Krakowie tak czynił, a na uwagę o przygodzie jakiej, o jakim zamachu na osobę monarszą, odpowiada wręcz:  
— Niemasz w Polsce całej piersi jednej, na którejbym nie usnął spokojnie.

Król w onej kapocie sztachetki prostego mieszał się nieraz pomiędzy tłum, zebrany na rynku, albo gwarzące gromady kmieci i przysłuchiwał się gadkom różnym. Ten, to i ów wywodził skargi swoje i żale, narzekał na krzywdy doznane, groził pomstą albo czekał zmiłowania bożego. Byli i tacy jednak, którzy radzili do króla iść i żalobę swoją przedstawić. Ci snąc już wiedzieli, że król

proszących od wrót swych nie odgania, lecz daje ucho chętnie  
i sprawiedliwość  
wymierza; ale ta łaskawość Kazimierzowa nie wszystkim  
jeszcze wiadomą była. Dwa  
roki dopiero, jak na tych górach zamczysko, a nad brzegami  
Wisły śpichrze  
królewskie stanęły; dwa roki dopiero, jak król zaczął zjeżdżać  
do ulubionego  
Kazimierza i z ludem się swoim poznawali Ciągnęło go tu ł  
serce, bo umiłował był  
Esterkę, która; w bliskim Bochońskim zamczku mieszkała.  
Nie znał go więc jeszcze lud tutejszy i gdy świadomszy rzeczy,  
namawiali  
skrzywdzonego, by szedł do króla:

— A kaj nie przyjmie — odpowiadał.

— Tego nie było po ninie.

— Zawždy to pan!

— I ojciec nasz — odpowiadano.

A król Kazimierz przysłuchiwał się mowom onym i radł był z  
ojcostwa swego.

Kraj był rozległy, okryty nieprzebytymi puszciami i lasami.

Zdarzało się nieraz,

że jakiś panek, siadłszy na zamczku swoim, broił bezkarnie.

Nim przez lasy te i

przez, te puszcze skarga doszła do ucha królewskiego, krzywd  
tyle się już

nazbierało, że na odpokutowanie ich żywotaby zbrakło, a  
zresztą bywało, że

skargę niesioną ciemne puszcze połknęły, łzy wypła wilgoć  
ziemna i zanim z

dalekich stron człek skrzywdzony do króla doszedł — w borze  
go zwierz dziki  
pożarł, albo krzywdziciel dognał i uśmiercił.  
Trudno też było czasami możnego pana dostać i dla  
przykładu ukarać. Król  
krzywdy nagradzał, a krzywdziciela strofował, myśląc, że  
słowo dobre, niż kara  
więcej pomoże.  
Tymczasem inaczej się działo i zło rosło. A zresztą, kto  
wiedział?, szczerza-li  
to prawdla

wychodziła z ust skarżącego? czy złe słuchy  
o tym lub owym kłamstwem nie były? Król musiał rozważyć  
wszystko, w dłoni swojej  
dowody winy mieć, by radnych zebrać i wydać sąd.  
Pomylić się łatwo i skrzywdzić na mieniu lub imieniu. Dobro  
zabrane oddać można,  
cześć wrócić — ale gdy kat szyję ukręci, głowy niewinnie  
uciętej już nie dasz. A  
i skalana raz cześć nie obmywa się łatwo, wrócone dobra  
zawsze oskarżeniem  
jakiemś partrzą. Bóg w ręce królom dał sąd, ale miłosierdzie i  
przebaczenie na  
przodku postawił. Wiedział o tem ostatni Piastów potomek  
i wolał przebaczać, lecz jeśli karał, kara! okropnie.  
Oddawna już wieści o panu Maćku Borkowic dochodziły do  
uszu królewskich. Ale  
Maćko na krzyż przysiągł, że źli ludzie obmową go krzywdzą,  
a skarżą przed

panem, bo jeno sprawiedliwości i praw się trzyma. Mogło i tak być, boć więcej jest plew, niż ziarn na świecie, więcej krakań wronich, niż

kwileń skowronkowych. I król uwierzył Maćkowi, uwierzył głośnej przysiędze jego na krzyż, wpatrzył się mu bystro w oczy i rzekł:

— Pamiętaj!

Ale złe głosy nie ustawały. Rozchodziły się wszędy echa o zbrodniach Maćkowych, jakich jeszcze nie znano w ziemi tej. Maćko nie szanował ni czci niewiast, ni praw rycerskich, na wieku, ni płci. Łupi! kupców, ciągnących z towarami przez lasy; niedających okupu więził; tratował zboża, polując na polach kmiecych; co gładsze niewiasty porywał i zdradą albo przemocą do uległości przymusza?.

Zawezwany Maćko znów stanął przed panem i znowu, na krzyż. Chrystusów zaprzysiągł niewinność swoją.

— Wždy wiesz, miłościwy panie mój — prawil — iż gdzie stado wron się podniesie, tam, zawsze kał polecie. Nie uchroni się przed nim ni król, ni kmić, ni święty nawet.

A znaleźli się i tacy, co za panem Borkowicem świadczyli i skarżyli głośno na

podłość Judzką.

Króli wtedy rzeki krótko:

— Wierzę!...

I dał Maćkowi województwo poznańskie; aż się sam Maćko  
zdziwił na tę  
niespodziewaną łaskę królewską, i przypadłszy ręki pańskiej,  
ucałował ją  
trzykrotnie.

— Do zdechu ci będę wierny, panie! a sprawiedliwość stanie  
się prawem okiem  
molem! — wykrzyknął.

A król znów spojrział na niego, ale takimi, oczyma, jakby  
chciał do głębi duszy  
jego zajrzeć i na wieki utkwic w pamięci Maćka — i znowu  
rzucił jedno słowo  
tylko:

— Pamiętaj!

Ale w niem była groźba, gdyby — zapomniał.

Działo się to w rym samym Kazimierzu, dokąd Maćko  
zjechał, poraz drugi; przez  
króla wezwany. Grodu tego nie znał, więc przypatrywał mu  
się ciekawie.

Na dzień drugi objeżdżali śpichlerze, poczem Maćko miał  
pożegnać króla i krypą

do Czerska, a stamtąd do swego województwa jechać.

— Bywaj więc, miły nam panie wojewodo! — mówił  
łagodnie król Kazimierz — a

pomnij, że widzę przez bory i lasy!

— Królewski wzrok!... — rzekł Maćko z przekąsem lekkim.  
Kazimierz brew zmarszczył.

— A cóżbym za król był — odparł poważnie — gdybym nie  
wiedział ,nic, co za  
lasami i borami się dzieje?  
— To też mówię: królewski wzrok! — rzekł Maćko, drgając  
śmiechem wewnętrznymi. —  
Wiem, miłościwy panie, że dosktonale widzisz!...  
— Rad jestem, wojewodo, z tego przeświadczenia twojego —  
król na to — bo czyniąc  
służby, wiesz, że je czynisz pod bacznem okiem królewskim.  
— A tak, miłościwy panie, tak! — rzucił Maćko, śmiech  
ledwie hamując.

Stanęli na brzegu wiślanym, przy którym ubrana w kobierce i  
złotogłów, czekała,  
krypa wojteводиńska. Maćko raz jeszcze powiódł okiem  
dokoła, na zamek spojrział  
i wzrok zatrzymując na wieży, w odosobnieniu stojącej:  
— Jak się owa wieżyca zwie? — spytał.  
— -strze-że-nica — rzekł król, rzucając zgłoski powoli, ruszył  
głową lekko na,  
znak pożegnania i oddalił się z dworzany swoimi.  
Odbili od brzegu. Fale Wisły wartko uniosły krypę pana;  
Borkowica.  
— Co to król chciał rzec? — zapytał Maćko, zwracając się do  
jednego z  
towarzyszących mu panów, a przyjaciół od serca. — Wieży-i  
to nazwa, czy  
ostrzeżenie do mnie skierowane?  
— „Ostrzeżenicą" zwie się każda. wieża strażnicza, ale głos  
króla co innego  
mówił...



— Nie uląkł się Maciek, wojewoda tan mniej się ulęknie —  
odpowiedział Borkowic.

- Prędzej kata, niż łaski tej dla wasbym się spodziewał.

— Przez bory i lasy widzi! — śmiał się Maciek.

Odpowiedziano mu gromkim śmiechem.

Mimo to wzrok wojewody zwracał się ciągle ku wieży onej,

Ostrzeżemicą zwanej;

jakaś siłą niewidzialna przykuwała do niej spojrzenie Maćka,  
że nijak oczu

oderwać nie mógł. Zdawało się, że chciał rozpoznać jej

kształty wszystkie, każdy

szczerb zapamiętać, do wnętrza zajrzeć przez jedyne wielkie

drzwi, u góry onej

wieżycy się znajdujące. Głęb tam musiała być — i ciemność

— i śmierć...

Maćko drgnął... Ale gdy Ostrzeżenica mgłami poranku się

okryła, poruszył hardo

głową, pięść podniósł w stronę zamku królewskiego, i —

pewny swej wojewódzkiej

godności, rzekł z dumą:

— Nie ugryziesz mnie teraz, króliku krakowski !...

I śmiano się z łeski pańskiej, z wiary pańskiej — ale król tego  
nie słyszał.

Lecz znalazł się jeden panek w poczcie Maćkowym, który

zwrócił się do wojewody i

rzekł:

— Teraz jednak pomnieć potrzeba...

— O czym?

— O onem dwukrotnem: Pamiętaj! królewskiem.

A Maćko na to:

— Nie ułapił pana na Borkowicach, trudniej chwycić  
poznańskiego władkę.

Pokręcił węża i spojrział na fale Wisły, która, złota od słońca,  
śnieżna od pian,

z szumem a gwarem z pod Beskidów ku Chwalińskiemu  
morzu płynęła.

W rok prawie po onych nawiedzimach Maćka król schodził w  
przebraniu z zamku

swojego ku miastu. Do uszu jego doszły nowe zbrodnie pana  
na Borkowicach, lecz

jednocześnie i pismo od wojewody, że przybywa pokłonić się  
panu i sprawy zdać ze

służby swojej, a że król miesiące letnie w ulubionym

Kazimierzu przepędzał, do  
grodu tego

miał przybyć „wierny i sprawiedliwy mąż”, jako sam pisał.

To dobrowolne stawienie się Maćka przed obliczem majestatu  
zachwiało znów wiarę

króla w możliwość popełnionych występków.

— Albo niewinnie cierpiący, albo czelny człek — pomyślał  
Kazimierz i w myśli mu

stał Florjan Szary, którego mniej bolały ielita wyprute, niż  
ludzkie języki.

Czekał przyjazdu Maćka i rozmyślając, wszedł krokiem  
powolnym na rynek

kazimierzowski.

Dzień był sobotni, godzina spóźniona. Ponad łunami zapaliła się luna blado-różowa — to księżyc wschodził.  
Na rynku, okolonym pięknie rzeźbionymi kamienicami, pusto było. W oknach jednak niektórych domostw siedmiopłomienne drgały światełka i brzmiał śpiew smutny, który nagle się zmieniał w jakiś lamentu gwar. Był to śpiew żydów, modlitwa i płacz wygnanych zewsząd, prześladowanych wszędzie tułaczów bez ojczyzny, którym Kazimierz swoją ojczyznę dał — z przestrożą:

— Miłujcie ją, jak macierz, bo inaczej — biada wam!...  
Król przechodził wzdłuż rynek i słuchał tych pieśni smutków ogromnych. Czoło rysowała mu bruzda... Lecz kto odgadnie myśli i to myśli takiego króla, jakim on był?  
Przechodząc, minął jakiegoś człowieka.  
Był to kmić.  
Zdaleka musiał przybyć, bo ciężko robił piersią zmoczoną i drżał, jakby go zimnica trzęsła; patrzył na zamek oczyma wystraszonemi, stawiał krok naprzód, to w\* tył go cofał.  
Król podszedł ku niemu.  
— Pochwałom! — rzekł — Na wieki — odpowiedział-zapytany

— A skądże to ociec boć nie tutejsi... — Z Wielkopolski.

— Aż tu?

— Do króla.

— Piechtą? — Jak widzicie!

— Dawności przyszli?

— Sionko jeszcze nie zamroczyło się, jakem tu już był.

— I co?

— Strach wkopał mnie w ziemię, kiej na to królewskie budowanie spożrałem.

— Wždy ton nie mieszka smok!

— Strach za wždy!

— Żali-bo nie słyszeliście, że miłym jest królowi kmieciów ród'?

— Tak mówią, ale wam powiedzieć trzeba, że mówienie od prawdy tak dalekie jest, jak wdzięczność od miłosierdzia.

Podobała się królowi ta odpowiedź, uderzył kmiecia po ramieniu i rzekł:

— Nie bójta się!... śmiało idźcie !

— Wy mówicie: idźcie!

— Wždy słyszycie.

— A psy?

— Co zaś?... kmieć i psów się boisz?

— Wždy to królewskie psy, panie szlachcic, to one obiorą tak człeka, że i

kosteczki jednej dla ziemi świętej nie ostanie.

— Gdzieżeście brednie takie słyszeli?

— U nas mówią.

— U was?

— W Borkowicach...

Król Kazimierz drgnął lekko i, kładąc rękę na ramieniu kmiecia, odezwał się:

— Nie wierzcie gąbkom tym, tam nijakich psów niema.

— A pacholki?

— Nie wygnają, ino do pana wprowadzą.

— Prawdę-li mówicie?

— Jakiem...

Tu zaciął się, bo chciał powiedzieć: jakem krat! — Rzekł więc:

— Jakem uczciwy człek...

Kmieć zdjął czapkę, przeżegał się, na zamek spojrzął, postawił krok naprzód i stanął nagle.

— Kiej nie mogę! — ozwał się z rozpaczą.

— A ze mną pójdziesz? — spytał król.

— Z wami?... Wahał się.

Król znów położył rękę na ramieniu kmiecia i przymglił, by szedł.

Uszli tak kroków kilka, lecz chłop raptownie wyrwał się z uścisku królewskiego, gwałtownie rzucił się w tył i zawołał:

— Nie póde, nie: póde — nijaki nie póde!!.. Cosik tam być musi, gdy mnie odpycha

tak... Nie póde, paneczku, i do domu nie wróce, bo tam strach jeszcze większy!

— Dokąd-że się udasz? — spytał król. A chłop zatoczył się, jak pijany:

— Do Wisły... i Już!

Kazimierz chciał mu powiedzieć, kim był, ale słusznie pomyślał, że na samo wymienienie imienia królewskiego nieszczęśnik z rąk mu się wydrze i już go nie zgoni nikt, tem bardziej, że straży nie było przy boku pańskim. Uśmiechnął się więc, podszedł do niego i rzekł:

— Godnie tam opisali wam króla, godnie! Po chwili spytał:

— I czegożeście z tak daleka aż tu przydybali?

— Gnała mnie krzywda ciężka.

— A samiście się pomścić nie mogli?

— Nijak, panie!

— Kto krzywdził?

— A on zły duch, zbój, poganin — Maćko z Borkowic!

— To już nie echo — pomyślał król — to głos skargi żyjącej, która obłędem patrzy i ku samobójstwu sięga.

— Nie lękajcie się, ociec, jeno prawdę mówcie!... A gdy się boicie przed

majestatem królewskim stanąć, nie namawiam was.

Opowiedzcie mnie jeno krzywdę

waszą i pocieszenia czekajcie.

Kmieć spojrział na wyszarzaną kapotę mówiącego i głową poruszył:

— Z Maćkiem nie zrobił nic król, a taki szarak, jako wy, cóżbyśta uczynił?

— Ja... widzi ociec — przy bramie królewskiej stoję. Łacno więc minie spotkać

pana i na ucho mu szepnąć: Krzywda! — a dla niego dość tego będzie.

Kmieć znowu głową poruszył.

— Ej! wy coś ta za daleko, panie odźwierny, od drzwi królewskich stoicie, gdy  
nie

wiadomo wam, iż król Maćka wojewodą uczynił, łaską obdarzył, a on mordował,  
rozbijał i kradł... A toć na wojewodę poznańskiego to skarga...  
Strach! strach!

— Chodziły złe słuchy, lecz król nie wierzył im.

— A tera uwierzy — mnie?

— Tak, wam uwierzy.

— O Jezu, Jezu!... jaki ja nieszczęśliwy człek; jaki ja zatracony człek!... —

kmieć zatkał. — Z takiej dalekości, o głodzie i płakaniu aż tu przydybał i przed  
tem zamczyskiem! stoję już godzin dwie, i coś odpędza od  
tych murów, strach

jakiś, mara jakaś i szepce a gada: utop się lepiej!...

— Przeżegnaj się, człowiecze, bo to złe jakieś do grzechu cię  
namawia. A wiedz,

król jest krześcijanin i katolik.

Kmieć żegnać się zaczął, a rozpacz, strach i głód tak go  
osłabiły, że chwiał

się., jak dąb podcięty, aż król go podtrzymać musiał. Teraz z  
nim już wszystko,

jak z dzieckiem, mógł zrobić; lecz nie do zamku wiódł, ino do

księdza proboszcza, pocieszając a rozpytując. Lecz chłop tak płakał, iż stowa przemówić nie mógł. Z ust mu tylko bezładne wyrywały się wyrazy:

— Ratuj, Jezu! ratuj, Panienko Najświętsza!... A kaj ty, Magduś?... pacierz ci ułomili... Dolo moja, oj dolo!...

Jakaś straszliwa, ohydna zbrodnia stała się tam daleko za lasami, za borami...

Przybyli na probostwo i król uderzył w kołatkę, wiszącą u wrót.

— Kto ci tam?.. — zapytał stróż głosem sennym.

— Odźwierny królewski! — rzekł Kazimierz.

— Rany boskie! — dał się głos słyszeć. Wrota się otworzyły szybko, a stróż

w pas kłaniać się począł, w pałak raz wraz się zginając.

A kmieć pomyślał:

— Przed odźwiernym królewskim takie pokłony wybija, a kiejby to sam był król?...

Pod stopy by mu się stał, o twardą ziemię łbem bił — a ten szlachcic mi prawił:

idź!

A król pochylił się i rzucił w ucho stróżowi :

— Pokłonów mi tu nie bij, a milcz — bo łozy!

Na progu plebanji stanął ksiądz Wit.

Król podszedł szybko i parę stów z księdzem zamienił.

Widok księdza uspokajająco oddziaływał na kmiecia.

— Król was przysłał? — zapytał króla proboszcz.



— Król nie król — odpowiedział Kazimierz. — Ale chcę księdza dobrodzieja poprosić o nocleg dla tego człowieka i nam na chwilę osobną izbę dać. Stary to druh mój, to wždy się godzi pogawędzić z nim trochę i w czarzkę uderzyć. Spotkało go nieszczęście, z pociechą przyjść trzeba.

— Czynicie tak, jako i pan nasz najmiłościwszy: dobrem darzy, a ród kmieczy nadewszysitko miłuje.

Chłop runął do stóp księdza.

— Toć to prawda, co ten szarak powiedział?... O Jezu słodki! o Panienko Najświętsza!... będzie miłosierdzie i pomsta.

Po ziemi się czołgał, całował stopy kapłana, a gdy go podnieśli, zwrócił się do króla i rzekł:

— Niebywały człek z was, panie odźwierny, litość macie nad sieroctwem mojem.

Marna chudoba ze mnie, ale iześ miał zmiłowanie boskie i do księdza zaprowadził, czem mogę, wynagrodzę. Weź groszniak ode mnie na piwo — to mi jedno z dobytku mojego ostało.

Ledwo ksiądz od śmiechu się wstrzymał, choć łzy miał w oczach, widząc kmięcia, dającego groszniak królowi, ale król go wziął. za pas schował i rzekł z powagą:

— Nie wiesz, iż więcej niż skarb mi dajesz.

Po chwili znajdowali się sami w izbie. Ksiądz wszedł raz,  
jeden tylko, przyniósł  
gorzałkę, chleba bochen, szczyptę soli i kółko kielbasy  
wędzonej na cynowym  
talerzu.

— Głodnyś — rzekł król, siadając — jedz, proszę!  
Wziął czarękę.

— Na zapicie robaka,  
— Po sprawiedliwości — kmieć odparł— Aaa... królewska!  
I zaczęta się uczta.

Zwierzęcy instynkt głodu przygłuszył rozpacz i ból. Chłop  
jadł za trzech, za  
czterech popijał, stukał czar ką o czarękę króla,  
mówiąc:

— Poczciwy z ciebie człek, panie  
odźwierny, niech ci Pan Jezus dobrotliwy koronę i panowanie  
da!

Król oczu nie spuszczał z kmiecia, pod powiekami zakręciły  
mu się łzy — wtem

brwi zmarszczył i szepnął w duchu:

— Borkowic!... Kmieć szept dosłyszał:

— Królewską łaskę ma i odźwiernych w złocie a srybrze, nie  
tak, jak wy,

wyglądających. A niema dnia, kiejby kogo na drodze nie  
złupil, a co u niego w

piwnicach zatracieńców siedzi, to nie wiemy, czy sam król ma  
tyle — hej!...

— U króla więzienie puste...

Chłop syknął.

— Ułapić nie może? — spytał.

— Nie chce, bo myślał słowem dobrem złe naprawić.

— Pan Jezus nie utrafił, a cóż król ziemski!...

Otarł usta rękawem.

— A wy, panie odźwierny, nie jecie?

— Mniej głodnym od was.

— Pewnikiem wam się nie cni na dworze królewskim;  
pierogów, miodu i omasty wbród  
macie, a Maćko nie stoi nad wami.

— Jak was zwa? — król spytał.

— Czestmir z chrztu świętego, a po ojcu Gwózdź.

— Opowiadaj o swoim nieszczęściu. Kmieć nagle jak noc  
spochmurniał, a łzy  
stały mu w oczach.

— Ano, .posłuchajcie, panie odźwierny — wyszeptał.

I tak zaczął:

— W Borkowicach chałupę miałem po dziadkach i  
pradziadkach, na poletkach rodziła  
pszenica i żyto, rzekłbyś, panie

odźwierny, las szczyry. A niedziel kitka temu wzionem

Magduś za żonę. Powiadam

wam, panie odźwierny, że drugiej takiej na świecie niema...

Ukrył twarz w dłonie i załkał.

— Panie Jezu Nazareński, co z niej ten Maćko zrobił, co on z  
nią zrobił!...

Król czarękę podsunał.

— Ból zapij i dalej praw!

— A wy, panie odźwierny? — rzekł Czestmir, czarkę biorąc i tłumiąc łzy.

— Za prawdę słów waszych! — rzekł król.

— Oby nieprawdą były! — kmieć szepnął.

Łzy otarł i dalej tak prawił:

— Niedziel temu sześć wracałem z kościoła z Magdą... od ślubu. Na wozie jechałem, a ona przy mnie, jak tęcza), jak stonko... Kłaniało nam się zboże w pas, rzekłbyś, panie odźwierny, las szczery!... Jedziemy tak, śmiejący się do siebie, o żadnej złej przygodzie nic myślący. Aż tu hałas, śmiechy,

a pieśni, a skowytanie psów i gony. Pożrę, a Maćko przez łąka i pole

tratuje... Tu stłumtł jęk w piersi.

— I co? — król spytał.

— Porwę się... i widzę... Jezu! Jezu!... Płacz głos mu zdławi?

— Uwieźli — po chwili szepnął — zanim jeszcze moja została...

Z piersi mówiącego ryk wyszedł.

— Krzep się — rzekł król — bo nie skończysz, powieści swojej. Wróciła do ciebie?

— Wróciła... z krzyżem złamanym... (Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a śmierć wiekuista niech jej świeci!...).

— Zgroza:... — zawołał król -- Mocowała się, panie odźwierny... aż pokonali...

Za łeb się porwał i trzasnął się o ścianę.

— Nie szalej! — odezwa! się Kazimierz. — Bóg jest  
sprawiedliwy — nie minie  
kara!... A Magdę drugą może znajdziesz.  
— Jest tam Jaguś Kielczanka, ale to nie to, mój królu, ni  
wdzięku takiego, ni  
słodkości

takiej... — zajęczał i wargi do krwi przygryzł.  
Król podsunął zmów czarę.  
— Pij!... bo dech stracisz.  
— A wy, panie odźwierny?  
Król wziął czarę i uderzając o szklenice. kmięcia, rzekł:  
— Na zgubę Maćkową!...  
Chłop podniósł się nagle, aż zatrzeszczała ława, na której  
siedział, i zawołał  
głosem, w którym ból drgał i pomsty pragnienie:  
— Niech zczeźnie, niech zginie, niech przepadnie, niech go  
żywcem ziemia pokryje  
!...  
— Amen! — rzekł król.  
Było to straszne Amen, wypowiedziane ustami pana takiego.  
Nastała chwila milczenia,, podczas której słyhać było  
oddechy dwóch piersi!,  
ciężkie, nierówne, lecz groźne zarazem — aż król się odezwał:  
— Dziś przyjeżdża tu Maćko z Borkowic... Czestmir ruch  
zrobił, jakby uciekać  
chciał.

— Nie bój się, jeno bacz na to, co ci powiem. Nie wychylaj się na krok z

domostwa tego, niech nie wie, że jesteś tu. Rozumiesz?

— Ubije mnie!

— Pod bokiem króla?... nie!

Wziął kapelusz na stole leżący i pióro w inkauscie umoczył.

— A terasz — napisz żałobę do pana.

— Kiej mnie tam pisać, panie odźwierny — rzekł kmieć.

— Napiszesz!

I podał mu pióro.

— Jak stał twój dom?

— Tak, panie.

— Połóż kreskę,... Chłop nakreślił.

— A łan gdzie był?

— Na ukos szedł, ku południowi — haj, haj!...

— Dobrze!... Daj teraz, kreskę, gdzie koś — ciół stoi, którą gościniec do

chałupy twej wiedzie, z jakiej strony Maćko gnał z psami, gdzie się zatrzymał, uderzył ciebie z jakiego

miejsca Magdę porwał, w którą uniósł stronę — kreśl wszystko!

— Magduś moją przy studni porwali

— Dobrze! to będzie studnia.

Chłop kreślił linje krzywe; kościół krzyżykiem, gościniec wężem, studnię kotem,

pole nierównym kwadratem naznaczył i tak dalej, wedle wskazania królewskiego.

— A teraz słuchaj, co ci powiem. Jutro, o samem południu, pod zamek idź, stań

przed oknami królewskimi od Fary i kartelusze ten. nad głową  
trzymaj. Król

prośbę zobaczy, weźmie, przeczyta i sprawiedliwości zadość  
się stanie.

Kmieć patrzył na swoją bazgrołę i aż się uśmiechnął; po  
chwili spytał:

— To król i na taktem pisaniu zna się?

— Tak!... śpij spokojnie.

Położył pocałunek na czole bólem zoranem i wyszedł.

Zawracał na „drogę królewską”, gdy jakaś kawalkada  
jezdnych na rynek się

wtłoczyła. Dobijano się do zajazdów i wysadzano

drzwi. Słysząc było głosy wesołe i żarty rubaszne, na  
smyczach psy skowyczały i

rżały radośnie konie, spoczynek przeczuwając.

To z poczem panów-druhów swoich zjechał Maćko z  
Borkowic.

Król musiał przechodzić około przejezdnych. Właśnie pod  
naporem niecierpliwców

drzwi zajazdu pękły.

— Bez gwałtu! — głosem podniesionym zawołał król.

Maćko raptownie zwrócił konia, ostrogę dał i, podnosząc  
buzdygan, skoczył do

idącego.

— Ktoś ty? — wrzasnął.

— A król!... — odpowiedział Kazimierz spokojnie i przeszedł.

Śmiech buchnął; lecz nagle, jakby w ziemię go kto wbił,  
zapanowała cisza

grobowa. Zrazu odpowiedź wzięto za żart jakiegoś szlachetki,  
trzymającego się

klamki pańskiej, lecz wnet poznano głos i trwoga ogarnęła  
serca. A król,  
stukając laską dębową o kamienie, któremi droga usłana była,  
szedł kro-

kiem powolnym ku stojącej w blaskach księżycowych górze  
zamkowej.

— Bodajś szeszł!... — zgrzytnął Maćko przez zęby i nakazał  
milczenie i dobre

obchodzenie się z właścicielami zajazdów.

Cicho rozsiodływano konie, cicho wchodziła i wychodziła  
cała hałastrą pana

wojewody. Szeptać nawet obawiano się, jakby jakaś groza  
zawisła nagle nad nimi.

A na zakręcie drogi zamkowej czerniała jeszcze sylwetka  
króla. Szedł krokiem

równym uderzając laską swoją o kamienie przydrożne.

Maćko patrzył na oddalający się powoli cień postaci  
królewskiej i nie wiedział

sam, dlaczego mu serce w piersi! zamarło. Odetchnął ,  
dopiero, gdy na załomie

gór zniknęła postać króla Kazimierza.

Nazajutrz, z poczem rycerzy i panów, przyjaciół i sług  
swoich, wybierał się

Maćko z pokłonem do pana. Słońce otrzęsło się z mgły, i  
wielkie, złote,

promienne ku błękitom szło wyżej i wyżej. Dzień był tak



piękny, powietrze tak wonne, że tylko żyć i żyćby. się chciało.  
To też ciepło  
dnia i ta jego promienność uspokoiły nieco umysł Maćka po  
zajściu wczorajszym.  
Nocą tylko. snują się złe mary; światłość słoneczna ich nie  
zna. Nie wiedział  
jeno pan wojewoda, jak teraz na dwór królewski ma przybyć;  
z hałasem trąb i  
gwarem swojego orszaku, czy samemu, w milczeniu  
pokornem, by króla przebłagać za  
uchybień wczorajsze.  
Orszak gotów był, a on się namyślał.  
Nagle zwrócił się do swoich:  
— W trąby i piszczałki! — zawołał. — Nie rato jedzie, lecz  
Maćko -wojewoda.  
I przy grzmocie ryczących gardeł obolów, przy szczękach i  
rzeniu a tętentach  
koni, przy gwarze rozmów z rozmysłu podniesionych i  
śmiechów głośnych, w  
dziedziniec zamku królewskiego wjechał Maćko wojewoda.  
W powitalnej komnacie przyjął go król, a przyjął radośnie.  
Uśmiechał się  
dobrotliwie, za rękę wziął i pytał o zdrowie. Maćko pokręcał  
wąsa sumiastego, o  
piędź iedną zda

się urósł, i sam nie wiedział, czy wczoraj króla spotkał, czy  
czasami mu się nie  
wyśniła całkiem przygoda ona?  
— Jakże tam zdrowie wasze, panie wojewodo ?  
— Dobrze, miłościwy panie!

— Na długo wystarczy?  
— Dolegliwości nie czujemy żadnej.  
— Sto lat można ci żywota rokować?  
— Sto nie sto, lecz jeszcze nieprędko kostucha mnie uchwyci.  
— Użyjesz świata!  
— Ba, czemu nie, gdy pierś jak wrota, a kark jak u tura bez mała.  
— Rad jestem, iż niema już żadnych skarg na was.  
— Któżby śmiał — dziś?  
— Nie o śmiałość tu chodzi, jeno o prawość postępków waszych.  
— O nich nie mówię nic, wždy przypominam sobie słowa waszej królewskiej mości,  
że wzrok jego za lasy i bory sięga!

— A cóż to? — rzeki nagle król, ku oknu się zwracając. — Kmieć jakiś z karteluszem nad głową wzniesionym u murów zamczyńska stoi... Kochan! — hukną}, w dłoń klaszcząc, i gdy ulubieniec królewski wszedł, zwróci! się ku niemu i tak rzekł:  
— Nowa skarga jakaś!... Idź, wasze, i przynieś mi tę żalobę.  
Dworzanin wyszedł, a król do Maćka:  
— Rad jestem, żeś przyjechał; nieprędko już opuścisz Kazimierz.  
I rozmawiał wesoło z panami swoimi i otoczeniem Maćkowem, a tymczasem wszedł Kochan i śmiejąc się, podał królowi kartelusz.  
Panowie na pisanie spojrzeli, zajrzał i Miaćko, i jeden głośny śmiech, buchnął:  
— Głupie chłopisko! — wołano ze wszach stron.

- Mądry, kto taką bazgrołę przeczyta!
- Tu i Salomon skapiałby.
- Ojej — boki... — śmiała się czereda Borkowica.

Ale król z powagą na twarzy, z brwią namarszczoną patrzył na pisanie ono, jakby tam odnajdywał rzeczy straszne. Ustał wiec śmiech, szmer nawet, każdy z panów ze zdziwieniem spogląda} na mieniącą się twarz króla.

A Maćko rzeki:

— Król jegomość i takie pismo odczyta. W boki się wziął, potężne wąsy na palce motając i zezem, patrząc na króla.

A król, stojąc wśród nich, tak zaczął:

— Skarga... jeno nie wiadomo, kto skarży i na kogo?

— A jak skarży, wasza królewska mość wie już napewno — rzekł Maćko.

A król, nie patrząc na obecnych, lecz pokazując im kreski dziwaczne i koła na karteluszu, tak mówił dalej:

— Tu stała skarżącego się sadyba, a na ukos, ku południowi, sz}o jego pole,

dojrzewającymi zbożem zasiane. O milę kościół... Ten wężyk — to gościniec... Ta.

kratka — to studnia. Z kościoła jedzie kmieć w orszaku

weselnym z żoną młodą a piękną... Nagle oto z zarośli puszczyk  
nikczemnik jakiś

wypada z psów zgrają i gorszymi od psów towarzyszami  
swoimi. Tratują zboże...  
nie swoje! niszczą dobytek... nie swój! Tu — koło studni —  
kmieć zatrzymuje  
hultajów... na klęczki pada i skargą do króla grozi... i dostaje  
obuchem w łeb.  
A dokoła wozu zamieszanie, gwar, krzyk przerażenia młodej  
żony... Zbrodnia,  
wołająca o pomstę do Boga!  
Tu podniósł oczy na Maćka — a Maćko był blady jak trup. Na  
czole, jak węże  
stalowe, nabrzmiały mu żyły, w piersi nie było tchu, zbielełe  
usta trzęsły  
się... Ta bladość odbiła się i na twarzach towarzyszących  
Borkowicowi panów.  
Milczeli, przerażeniem zdjęci, jakby w powietrzu unosilia się  
śmierć.  
Wtem oblicze króla złagodniało. Kazimierz podniósł rękę i,  
kładąc ją na ramieniu  
nie mogącego przyjść do siebie wojewody, mówił spokojnym  
głosem:  
— Gdyby to tak w województwie twojem stało się, co byś  
uczynił?

Maćko nie znalazł słów odpowiedzi.  
— Miły nam panie wojewodo — ciągnął król — zechciej  
wyreńczyć nas w tej tak  
ciężkiej przygodzie. Tam, w drugiej izbie jest inkaust i pióro,  
Pójdź i napisz  
wyrok śmierci.  
— Na kogo?! — zapytał Maćko.

— Powiedzą ci — tam! Drzwi wskazał...  
Maćko musiał spełnić rozkaz królewski — i wyszedł za  
wskazaniem ręki pańskiej.  
Zaległa ogromna cisza. Przyboczni króla patrzyli  
rozszerzonymi od zdziwienia  
oczyma w twarz jego, nie pojmując nic; Maćkowi towarzysze  
zaparty oddech w  
piersiach mieli.  
Nagle z komnaty, do której wojewoda wszedł, doleciał szmer  
głuchy, łoskot tępy,  
brzęk oręży, straszliwe mocowanie się jakieś i Maćka krzyk...  
Towarzysze Borkowica trzasnęli w szable i do wyjścia się  
porwali, chcąc na ono  
wołanie rozpaczne pospieszyć, ale król krzyknął:

— Stać!...  
Myśleli, że grom uderzy } — stanęli  
Szmer głuchy, pasowanie się groźne,  
krzyk wojewody — oddalały się... ginęły...  
cichły...

W czerwieni szat, ze skrępowanymi w tył rękoma, przez,  
hajduków prowadzoną,  
szedł Maćko do Ostrzeżenicy. Z niebywtałym lejkiem na  
wieżę oną patrzył, pot  
zimny spływał mu z czole, raz: wraz obracał twarz, ku  
zamkowi zwracając bielma  
swych oczu. Myślał, że z pomocą mu druhowie przybędą,  
przez zaklinali się  
nieraz na krzyż: „Nie opuścim cię, Maćku! w godzinie  
ostatniej na nas licz!...”

Gdzie teraz są?

Sam idzie — więzy wżerają mu się w ciało, żelazne ręce  
pachołków ciężą na karku  
pańskim...

Posepny orszak wstrzymał się z Maćkiem Borkowicem pod  
Ostrzeżenicą.

Do drzwi wieżowych można było jeno po przystawionej  
drabinie wejść, od których

prowadzi korytarz długości łokci siedmiu, zakończony  
przepaścią ciemna. Nad  
głębią oną stanął Maćko, a ujrawszy starostę królewskiego,  
zwrócił się ku niemu  
i spytał:

— Na com skazan?

— Na śmierć — z głodu.

Hajdacy już mieli na sznurach spuścić w głąb straszliwą  
wojewodę, gdy on się z  
całych sił oparł, a oczy przerażeniem spojrzały. W tej chwili  
ukośny promień  
słońca złotą strzałą do wnętrza murów wpadł; wbiegł wiatr  
ciepły, niosący  
zapachy kwiatów, i musnął czoło wojewody, zimnym potem  
oblane, Ostatni promień  
słońca, ostatni wiatru wiew !...

— Litości... — jęknął.

Dal się słyszeć szybki szmer sznurów spuszczonech... i  
ciężkie ciało Maćka  
wojewody spadło na dno piwnicy.

Noc — ciemność — przerażenie — grób !...

Czy jeden, czy sto dni przeszło — Maćko nie wiedział... Dla  
niego była noc  
tylko, ciemna, nieprzejrzana noc...

Po chwili omdlenia, gdy przytomność wróciła, niewymowny  
ogarnął go strach...

Cisza wszędzie i ciemność wszędzie, wszędzie ciemność i  
cisza.

Z potężnej piersi Maćka ryk wypadł — ale stłumiły go mury...

Nie odezwało się

echo żadne, głos żaden nie przerwał tego milczenia mogiły.

Uwolniony z pęt, podniósł się z ziemi i naokół zaczął szukać  
rękoma...

Mur... mur... bezlitosny, głuchy mur wszędzie!

W jednym jeno miejscu nie było ściany — otwór jakiś ze  
sklepieniem u góry.

Był to podziemny korytarz, który kołem wielkiem okrążał  
potężne fundamenty

wieżycy 'i tworzył pierścień spójny, krąg bez wyjścia

zaczarowane koło

wieczności.

— Może tam głąb, przepaść i śmierć!... Aby raz skończyć, aby  
raz skończyć... —

szeptął skazaniec i krok naprzód postawił.

I szedł tak Maćko wojewoda z podniesionemu ku górze

rękoma, z oczyma przeraże-

niem patrzącemi; i szedł tak w mrok, w ciszę, w ciemność, w  
wieczność!...

Po dniach czterdziestu król rozkazał wydobyć szkielet  
nieszczęścia, by go do  
Borkowic odesłać. Starosta królewski, ksiądz Bit i panów  
kilku, spuścili się do  
straszliwego podziemia. Posępnie migotał blask pochodni,  
szli, pochyleni do  
ziemi niemal, poszukując wyschłego szkieletu wojewody.  
Nagle wstrzymali się, jakby gromem rażeni... Dech w piersi  
się zaparł, włosy  
dębem stanęły, groza odbiła się na wszystkich twarzach...  
Maćko Borkowic żył jeszcze...  
Żył — karmiąc się ciałem własniem.  
Obląkany, straszny, krwawy, zęby wściełemi zsiniałe ciało  
szarpał, wysysał krew,  
pik swych kości. Z zapadłej piersi wydobywał się charkot  
okropny, rżenie  
konania — bez skonania.

Taką historję opowiada po dziś dzień lud kazimierzowski,  
wskakując na wieżę,  
„Ostrzeżenicą” zwainą